10 NUMER. MAJ 1909. ROK I.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Józefa Pilcha, gazdy chochołowskiego,

pamiętnik o powstaniu chochołowskiem.

Do druku przysposobił *Feliks Gwiżdż.*

...»nie będzie dobrze na świecie, póki się czerniawa (pospolite ruszenie ludu) nie ruszy, póki pod Krakowem nie będzie strasznej wojny«...

Z przypowieści podhalańskich.

Słowo wstępne.

Historja powstania chochołowskiego jest już znana, zwłaszcza czytelnikom „Kurjera Lwowskiego“, którzy mieli sposobność w dawnym „Tygodniu“, dodatku literackim, czytać pamiętnik organisty chochołowskiego, bohatera tego powstania, w doskonałem opracowaniu dra St. Eljasza-Radzikowskiego. Obecnie rozpoczynamy druk nowego pamiętnika, tyczącego się tej samej sprawy, lecz — pamiętnika chłopskiego. Należy to podkreślić. Józef Pilch, gazda chochołowski, miał podczas powstania lat 15. Już wtedy doniosłość sprawy polskiej rozumiał i wypadkami bieżącymi żywo się zajmował, o czem świadczy najlepiej jego pamiętnik, spisany po latach z pamięci, a również doskonała orjentacja w sytuacji, którą, jako historyk, w pobocznych wprawdzie zdaniach osądza. Osądza również Józef Pilch ludzi, przyczem pióro jego, gdy mówi o zdrajcach, nie waha się użyć z pod serca wyjętych przekleństw i złorzeczeń.

Pamiętnik Pilcha przynosi również rzeczy, przez Andrusikiewicza niezanotowane, lub tylko mimochodem wspomniane. Andrusikiewicz, zwracając głównie uwagę na bieg zdarzeń, na potyczki, aresztowania, następstwa ich i losy bohaterów, w przyczynach, pobudzających górali do walki o wolność, uważając między innemi za główną stosunki w państwie czarno-dunajeckiem, nie dał ani razu w swych pamiętnikach tak pięknego i rzewnego ustępu, malującego nastrój i stan umysłów, jaki daje Pilch, gdy wspomina słowa gazdy Wojciecha Koisa, wypowiedziane w izbie Pilchów, iż — „raz już przyszedł czas tej niedoli naszej, pójdziemy w poniedziałek ku Krakowu, bo tam ten nasz wódz będzie czekał...“

Józef Pilch barwnie i żywo opisuje prześladowania, jakich rząd austrjacki dopuszczał się po powstaniu na Chochołowianach, czego Andrusikiewicz, jako siedzący w więzieniu, nie był już świadkiem naocznym — następnie z iście góralską złośliwością charakteryzuje rolę przysłanych do Chochołowa przez rząd Jezuitów dla nawracania „buntowników“, oraz wspomina obszernie historję słupa, który rząd postawił „na hańbę“ Chochołowianom, a który ojciec Józefa, jako wójt w Chochołowie, po ogłoszeniu konstytucji usunął.

Pamiętnik Pilcha, zawierający wiele uwag i zdarzeń nadzwyczaj charakterystycznych, ma niepospolitą wartość historyczną i literacką. Obok pamiętnika Andrusikiewicza nie traci on zupełnie na wartości, gdyż w gruncie rzeczy jest ten pamiętnik bezpośrednim wyrazem myśli politycznej chłopskiej na Podhalu w r. 1846 i później, a nadto jako dzieło chłopa zasługuje na uwagę także ze względu na pytanie — dlaczego Pilch ten pamiętnik napisał, co go do tego skłoniło? Odpowiedź znajdzie czytelnik sam w tchnieniu serdecznem, jakie wieje z pożółkłych kartek pisania Pilcha.

Pilch, ku zdumieniu piszących gwarą górali, usiłuje w swych pamiętnikach wyrażać się po literacku. Dlatego uważałem za stosowne dążność tę uszanować i drobne usterki, które mu wyszły z pod pióra, pousuwać, przyczem żadnych zmian większych nie wprowadzałem.

Pamiętnik Pilcha.

W krótkości opowiem tę smutną historję o powstaniu w Chochołowie w r. 1846, a w 15 roku życia mego. Pamiętam dobrze, com widział i słyszał.

Na kilka miesięcy przed powstaniem przyjeżdżali przełożeni straży granicznej na jakieś poszukiwania do pana Jana Andrusikiewicza. Więc komisarz Fiutowski *) z Nowego Targu przyjechał, później — na miesiąc przed powstaniem — i oberkomisarz od tejże straży granicznej i komisarz ze sądu z Nowego Sącza tu się pojawili, zawsze rewizję w przytomności Naczelnika gminy Jacentego Koisa pełnili, lecz niczego się nie dobadali, ponieważ organista niczego tyczącego się powstania u siebie nie miał. A co miał, to było przechowane u pewnego urlopnika, Józefa Walosa, który był w obowiązku u Jana Blaszyńskiego.

O zamierzonem powstaniu wiedzieli tylko ludzie wiarogodni i dobrego ducha. Tych znałem. Byli to: w Chochołowie: ks. Leopold Kmietowicz, organista pan Jan Andrusikiewicz, naczelnik gminy Jacenty Kois, zastępca naczelnika Wojciech Kois, sołtys Jan Mniszak, sekretarz gminy Jan Churchot, oraz dwaj strażnicy Lebiocki i Dobosz, a nadto urlopnik Józef Walos, gospodarz Jan Zych, urlopnik Michał Szczurek, urlop. Jan Wróbel, urlop. Jan Blaszak i gospodarz Jakób Blaszyński. Z Dzianisza znałem gospodarzy Wojciecha Kurasa, Jana Styrczulę i urlopnika Wojciecha Hanuszczarza — z Witowa naczelnika gminy Szczyptę i gospodarza Kołtasia, z Cichego zaś gospodarza Jana Zawodniaka. Ponadto znałem jegomościów: ks. Makucha i ks. Głowackiego z postawy i cery, gdyż często w Chochołowie z wymienionymi wyżej przebywali dniami i wieczorami.

Organista przed paru laty owdowiał. Miał dwu synów: czternastoletniego Teofila i dwunastoletniego Romana, oraz podeszłą w latach służącą. Majątku nieruchomego nie miał.

Brata miał w Gdowie. Na dwa tygodnie przed wybuchem powstania przyjechały dwie parokonne fury z Gdowa i zabrały cały dobytek organisty. Odjechali też małoletni synowie jego, z którymi ojciec tkliwie i ze łzami w oczach się żegnał. I mnie było tęskno za chłopcami, z którymi towarzyszyłem. A była wtenczas wielka zamieć śnieżna. Ludzie dziwili się, mówiąc, co ten organista ma na myśli, że tak się od nas wybiera w taką wielką zamieć i we święto — a nic nam nie mówi.

W nocy z soboty na niedzielę ostatnią mięsopustu **) wybrali się już o późnej godzinie — podobno 11-tej czy 12-tej — naprzód na miejscowych strażników, z których już dwóch było po stronie legjonów ***). Ci byli powstańcom na rękę, gdyż zgłaszali się u straży jako idący z północnym raportem i zaraz ich puszczano. Legjoniści oznajmili wtedy straży, co mają na celu. Jeden z strażników ze Starego Bystrego oddał broń a sam został neutralny (wołał się Obrochta), dwóch zaś wzbraniało się broń oddać, tych rozbrojono, skuto i obstawiono wartą. Po mego ojca przyszedł Wojciech Kois z wezwaniem, aby szedł zaraz pilnować tych strażników; przyczem tak mówił w naszym domu:

— Już raz tej naszej niedoli przyszedł czas. Pójdziemy w poniedziałek ku Krakowu, bo tam ten nasz wódz będzie czekał, zaczem się szeregi poschodzą. I pójdziemy przez Nowy Targ, bo i tam jakiś oddział będzie na nas czekał we wsi Łopusznej. A teraz idziemy do wsi Witowa na straż graniczną, a gdy stamtąd wrócimy, to pójdziemy na Suchąhorę na komorę.

W Witowie udało im się bardzo dobrze. Wszyscy strażnicy byli w kasarni i spali wygodnie. Na zapukanie tych strażników, co byli po stronie chłopów, wyszedł jeden z kasarni rozmarzony i nieświadomy, co to za przygoda. Organista, dwaj strażnicy i garść chłopów weszli do kasarni i oznajmili, co zachodzi między Polakami a Austrją. W sieni tymczasem chłopi ubierają się w zbrój porozwieszaną. Z witowskich strażników żaden nie chciał przystać do powstania. Gdy powstańcy z Witowa wracali, łączyło się z nimi coraz więcej chłopstwa. Połączeni więc razem poszli na węgierską stronę do Suchejhory — dwa kilometry od Chochołowa — na komorę. Gdy tam zaszli, natychmiast zapukali do drzwi owi dwaj strażnicy z oznajmieniem nocnego raportu. Poborca kazał stróżowi drzwi otworzyć. Nie domyślając się niczego, z organistą czule się przywitał, bo znał się z nim. Wtedy organista oznajmia o celu swego przybycia i żąda od poborcy pieniędzy, które pobierał z polskiej strony. Poborca sprzeciwia się temu. Odemknął jednak kasę w przytomności dwu strażników i kilku chłopów i rzekł: „bierz sobie“. Pan organista wybrał pieniądze i zliczył je. Ile tych pieniędzy było, tego nie wiem *).

Chłopi zaraz po odebraniu pieniędzy rzucili się na herb austrjacki, który był na tablicy po stronie polskiej i potłukli go. Na drodze z Suchejhory stał słup o 3 metrach wysokości z tablicą, na której po stronie węgierskiej był herb węgierski, a po stronie polskiej austrjacki. I ten herb chłopi wyrzucili, a tablicę stłukli.

(C. d. n.)

---

*) Pilch pisze: Fijatowski.

**) Dnia 21. lutego 1846 r.

***) Pilch stale nazywa powstańców „legjonami“.

*) Andrusikiewicz opisuje, iż najpierw uderzono na Suchąhorę, a potem na Witów. W tym wypadku pamięć zawiodła Pilcha. Co do pieniędzy, zabranych w Suchejhorze, to ks. Kmietowicz i Andrusikiewicz wystawili kwit na 600 fl. c. m. z cła galicyjskiego, a 150 fl. c. m. z cła węgierskiego.

MARCELINA KULIKOWSKA

SŁOŃCE.

I.

Zamknij serca, zamknij wrota,
Na ścieżaje, na wierzeje,
Słońce przyjdzie — nić rozmota,
Słońce przyjdzie — blaski wsieje...

Błogosławię ciebie słońce,
Serca mego — duszo wieczna,
Wybawienie sercu niesie
Rozśpiewana pieśń słoneczna.

Błogosławię ciebie słońce,
W jasne twoje patrząc lica,
Kocha ciebie dusza moja,
Ręka moja i źrenica...

Moja ręka — siły czuje,
Moje oko patrzy w dale,
A przed duszą grób się chowa,
Chowa w światła twego fale.

Bierzesz, słońce, bóle, troski,
Bierzesz, słońce, nić żywota,
A rozsnuwa na niej radość
Twoja ręka szczerozłota.

Po dolinie mgła się snuje,
Na dolinie płaczą ludzie,
Mgły ku niebu popłynęły,
Człowiek w słońca stanął cudzie.

II.

Kłonię się tobie,
Kłonię się tobie
Ty słońce złote...
Przez ciebie czuję,
Przez ciebie lecę
W życia ochotę...

Pozdrawiam ciebie
Gwiazdo jaśniąca
Druhu serdeczny
Dla ciebie zbędę,
We mgły oprzędę
Tęsknoty wieczne...

A wierzę w twoje
Słonko ty moje
Ogromne siły,
I patrzę w ciebie,
A cień gdzieś ginie
Zimnej mogiły...

Kłonię się tobie
Ach! Kłonię wiecznie
Źródło bijące...
Śmierć a zgryzota,
Ból, nędza zczeźnie
Gdy wzejdzie słońce.

III.

Pozdrawiam was, duchy bratnie, duchy [nieznane, tęskniące,
Tyleście wy dla mnie, co słońca promienie [gorące

A słońca nic nie weźmie, nie zaćmi, nie [ostudzi...
A morze nie zatopi, a wicher nie podo- [le — tęsknocie ludzi...

Szlacheckie wczasy.

(Compendjum różnych skryptów i awantur, które się działy za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego, przy pomocy moskiewskiej 1764 na tron polski obranego).

Spełniała się właśnie jedna z największych tragedji dziejowych — ziemię wolną pętano łańcuchem niewoli — wyniszczoną, bezsilną, z ludźmi do ostatecznych granic upodlonymi, zabierał wróg, bez armatniego wystrzału nawet, jednem pociągnięciem pióra przy zielonym stoliku. Na serca ludzkie padała jakby zmora senna; mrok nieprzebytej ciemności ogarniał rozumy, a w mroku tym pełzło robactwo każdej zbrodni i każdego zaprzaństwa Zgubnej ślepoty pełną była polska ziemia.

A w jej jakimś nieznanym zakątku siedział szlachcic i pisał wszystko, co dziejowa fala do jego przyniosła brzegów. Wyławiał, jak rozbitek przy wezbranej rzece, okruchy cudzych myśli, echa słów manifestowych, plotki, potwarze a czasem okruchy złotej prawdy, bolesne drgnienia i odruchy*). Wśród trzasku walącego się gmachu ojczyzny znalazł bardzo dużo spokoju i jeszcze więcej czasu na spisanie grubego tomu papieru. Zresztą miał poczucie tragicznej chwili, tylko, że tragedja przedstawiała mu się jak na scenie, z osobami, działającymi według reguł dramatycznych. Nawet przepisał sobie w całości dwie straszliwie długie, a widocznie bardzo wówczas poczytne sztuki dramatyczne. Jedna z nich ma tytuł „Cnota uciemiężona, wolność obarczona — tragedja w aktach siedmiu“, w której aktorami są: Umizgalski — biskup Krasicki; Perekińczyk — prymas Podolski i t. d. Ponadto przepisana jest „Tragedja druga z dwunastu osób pryncypalniejszych wczęta, z całej ojczyzny, znaczną klęską odprawująca się, za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego“.

Żadnych wspomnień osobistych nie miał ów szlachcic piszący »*silva rerum*« na gruzach ojczyzny, żadnego własnego współudziału w rozgrywających się wypadkach nie zanotował. Był biernym widzem, snać nieco wykształceńszym, ale bez indywidualności. Wierzył, chwalił, potępiał, o ile sądzić można z doboru przedmiotów, które spisał, w to w co wierzył, co chwalił i potępiał ogół szlachecki: nie lubił Moskali i Repnina, wielkim był przyjacielem Jezuitów, z konfederacją barską sympatyzował. Notując fakt wywiezienia biskupów i senatorów do Kaługi, dodaje: „takowe to od wieku niesłychane absurda poczynił poseł moskiewski“, a potem przepisał w całości akt konfederacji radomskiej z r. 1767, „manifest Imp. Dzierzanowskiego, marszałka ziemi gostyńskiej w grodzie gostyńskim 23. Julii 1768 r. uczyniony“, manifest Józefa Puławskiego.

A tymczasem przychodziły wiadomości o zamierzonym rozbiorze. Nasz szlachcic wynotował sobie „Uwiadomienie patrjotów o dobrych zamysłach, tak zagranicznych, jako i wewnętrznych in anno 1771“. Zaraz pierwsze uwiadomienie brzmi: „Naprzód wiedzieć potrzeba, że tak do powiatu sandeckiego, jako i księstwa halickiego, wynajdują Węgrowie prawa“.

Co do wewnętrznych „dobrych zamysłów“ to bardzo charakterystycznym jest „List od przyjaciela pisany do Ogińskiego, hetmana litewskiego, przestrzegający go jak ma się uchronić zasadzek moskiewskich, tudzież swojej własnej żony, którą z Warszawy Czartoryski kanclerz litewski, ojciec jej, z Czartoryskim wojewodą ruskim, jej stryjem, wyprawili do męża, ażeby pod pretekstem miłości małżeńskiej, w samej zaś rzeczy, aby o postępkach męża swego dawała wiadomość do Warszawy i żeby go przywiodła, aby wojsko rozpuścił“.

Jest także trochę gryzącego humoru w „*Prima aprilis* warszawskiem na r. 1772“, gdzie znajdujemy następujące ogłoszenia:

„Podaje się do wiadomości, że JKmć. Stanisław August, zgubił miłość ojczyzny. Ktoby ją znalazł niech odniesie do pałacu Rzeczypospolitej“.

„Ks. Naruszewicz zgubił medal ofiarowany mu przez króla. Nagroda: 130 epigramów, 40 eklog, 24 dytyrambów i tyle satyr, ile będzie potrzeba“.

Wogóle humor u naszego szlachcica jakby wzrastał w miarę nieszczęść narodowych. Przepisuje wprawdzie akt konfederacji warszawskiej z r. 1773, wiadomości tyczące się kasaty Jezuitów, która go zgrozą napełnia, a nawet rzewny „list króla Jmci polskiego do Imp. Kickiego, starosty lwowskiego, który za wkroczeniem wojsk cesarskich i objęciem samego Lwowa nie chciał czynić homagium cesarzowej Imci, za co odebrano mu starostwo lwowskie“ — ale równocześnie coraz częściej znajdują się wyskoki humoru w rodzaju »*statuta ordinis fratrum bene bibentium*« (statut towarzystwa pijaków) i t. p.

Z tego pogodnego spokoju i „kwiatów“ wesołości wyrastających na grobie ojczyzny, zwraca uwagę: „Kondolencja JW. Katarzynie Kossakowskiej, kasztelanowej kamieńskiej, o którą konkurował Jordan, Sapieha, Radziwiłł, a Potockiemu, staroście kaniowskiemu, sprzyjała — naostatek została żoną Kossakowskiego, małego zbyt będącego wzrostu“.

Kondolencja ta w formie rozwlekłego wiersza o nastroju nieco pornograficznym, posiada doskonałą ilustrację w dwu portretach znajdujących się w muzeum narodowem im. Króla Jana Sobieskiego we Lwowie. Jest tam mianowicie portret bohaterki powyższego wiersza Katarzyny Kossakowskiej, znanej z dowcipu i wielkiej roli, jaką odegrała w życiu Galicji, bezpośrednio po zaborze austrjackim, oraz jej męża Kossakowskiego, który słynął na całą Polskę ze swojej odrażającej brzydoty. Opowiadają także, że oświadczając się o rękę przyszłej swojej żony stanął na worku wypchanym dukatami i w ten sposób mały swój wzrost... nadsztukował.

Rękopis, którego krótką treść wyżej podaliśmy — jest dokumentem czasu. Zakonserwował się w nim szlachcic polski z najstraszniejszej doby, szlachcic przeciętny, ani lepszy ani gorszy od swego otoczenia... taki przygnębiająco pogodny i taki bierny świadek dziejowej tragedji.

Innymi byli, którzy po nim przyszli, ci z pod Kościuszki i z legionów...

Fr. Jaw.

*) Rękopis z drugiej połowy XVIII. wieku, pisany przeważnie jedną ręką, a złożony z 380 kart *in quarto*. Oprawny w zniszczony półskórek z wyciśniętym napisem na grzbiecie: „Manuskript“. Na ostatniej karcie nazwiska właścicieli rękopisu: Ignacy Bagieński, Wincenty Świdziński, Wincenty Łoziński i rok 1787.

Projekt nowej ustawy dla ochrony zabytków historji i sztuki.

Jak niewystarczającemi są do dzisiaj obowiązujące postanowienia ustawy o konserwacji zabytków kultury i sztuki, o tem przekonać się można najlepiej z tak licznie przez prasę notowanych wypadków zatracania lub niszczenia starych budowli, dzieł sztuki lub przedmiotów znajdowanych w ziemi. Skarżą się na to, iż materjał z dawnych zamków i twierdz sprzedawany bywa na nowsze budowle i że bez żadnych skrupułów zaprzepaszcza się w ten sposób najcenniejsze nieraz rzeźby i posągi, z oczywistą dla nauki szkodą. Wykopaliska monet lub innych starożytnych wyrobów dostają się najczęściej w ręce handlarzy lub niepowołanych amatorów, którzy bezwzględnie niszczą i przetapiają je na metal lub zużywają do innych celów, nie stojących w żadnym związku z wskazanem dla nich zachowaniem i ochroną od zepsucia. Od wielu też lat podnosiły się na archeologicznych zjazdach głosy, wykazujące potrzebę unormowania stanowiska prawnego najrozmaitszych zabytków, ale przebrzmiewały one zwyczajnie bez echa, nie wywołując pożądanego skutku.

Dopiero niedawno przedłożył prezydent Centralnej komisji baron Helfert obom Izbom do zatwierdzenia starannie opracowany projekt nowej ustawy dla ochrony zabytków, której najnowsze postanowienia chcemy właśnie omówić:

Pod mianem zabytk... według brzmienia ustawy, rozumieć należy w ogólnem słowa znaczeniu jedynie dzieła rąk ludzkich z wykluczeniem utworów przyrody. Jako te pierwsze wymienia ustawa przedewszystkiem budowle, rzeźby, malowidła, części urządzeń, naczynia, monety, przedmioty wykopane i t. p., jakie wraz z tego rodzaju utworami natury, które są do nich przynależne (n. p. park zamkowy, cmentarz z swą roślinnością, drzewa obok kościołów i figur i t. p.) podlegają ogólnym przepisom o ochronie przedmiotów sztuki i cywilizacji. Prawne jednak zabezpieczenie waruje ustawa jedynie tym nieruchomym (budowle, pomniki) i ruchomym (malowidła, rzeźby) zabytkom, od powstania których upłynęło najmniej 60 lat i jakich zachowanie z powodu ich kulturalnego i historyczno-artystycznego znaczenia, albo z powodu ich estetycznej wartości lub działania na charakter miejscowego krajobrazu leży w interesie ogółu.

Każde zadysponowanie tego rodzaju zabytkiem jak zniszczenie, zmiana, restauracja, sprzedaż lub wogóle jakiekolwiek wyzbycie się tegoż, może nastąpić jedynie za uprzedniem zgłoszeniem, oraz za wyraźnem zezwoleniem politycznej władzy krajowej. Zezwolenie takie zbycia albo sprzedaży może być udzielone przez Ministerstwo wyznań i oświaty tylko w szczególnie godnych uwzględnienia wypadkach na podstawie dowodu zgody kompetentnego, autonomicznego, kościelnego lub innego organu nadzorczego. Dla lepszej ewidencji wszelkich zabytków mają być sporządzone na koszt państwa według politycznych okręgów, szczegółowe inwentarze, których pozycje odnośnie do zabytków nieruchomych wciągane być mają do księgi gruntowej.

Co do zabytków, ściśle prywatnego pochodzenia i charakteru, to wolne są one od wymienionych postanowień, chyba, że właściciel sam zażąda dla nich opieki prawnej, która też za zgodą Ministra wyznań i światy będzie im przyznaną. Również przy przejściu jakiegoś publicznego zabytku w prywatne posiadanie odpada dlań opieka prawa, jeżeli ze strony tego ostatniego przyjęte zostanie zobowiązanie utrzymania zabytku w odpowiednim stanie.

W razie zaś koniecznego wdania się w zachowanie prywatnego zabytku, co do którego pożądanąby była opieka prawa, zarządzone może być za odpowiedniem odszkodowaniem wywłaszczenie na rzecz państwa, kraju lub gminy.

Obowiązek uwiadomienia odnośnej władzy o zamierzonym wywozie dzieł sztuki, określony już w 1827 r. odnośnem rozporządzeniem ministerjalnem, pozostaje i nadal w obowiązujacej mocy.

Prócz przedmiotów widocznych i znanych odróżnia omawiana ustawa także znaleziska i odkrycia (odsłonięte freski, znalezione na strychach archiwa i t. p.), o których ustanawia, ażeby wiadomość o nich donieść bezzwłocznie odnośnej władzy konserwatorskiej. W razie potrzeby zarządzone będzie ze strony państwowej władzy ochrony zabytków naukowe zbadanie przedmiotu, a względnie wydanie o nim opinji, przed którem nie dozwolonem jest jakiekolwiek dowolne zadysponowanie zabytkiem.

Rozkopy, celem odkrycia i badania ruchomych i nieruchomych przedmiotów o znaczeniu dla historji kultury i sztuki, przedsiębrane mogą być jedynie za zezwoleniem odnośnych władz państwowych. Na rzecz tego rodzaju rozkopów może być przez państwo w szczególnie ważnych razach zastosowne prawo wywłaszczania, jakie na specjalne starania odstąpione może być również krajowi lub gminie, w obrębie którzch dokonane zostało znalezisko, lub oddane na rzecz publicznego muzeum. Wywłaszczenie może być trwałe albo jedynie czasowe, stosownie do potrzeby i znaczenia zabytku.

Wszelkie przekroczenia postanowień tej ustawy karane będą pieniądzmi, które przepadają na rzecz skarbu państwowego i tworzyć mają fundusz na cele opieki nad zabytkami, pozostający pod zarządem Ministerstwa wyznań i oświaty. Władzą interesowaną w wykonywaniu postanoweż opieki nad zabytkami jest w pierwszej mierze państwowy Urząd ochrony zabytków, dotychczasowa Centralna Komisja dla zabytków historji i sztuki z siedzibą we Wiedniu. Celem zaś skuteczniejszego działania w poszczególnych krajach ustanowione być mają

podobne władze, które jedynie w ważniejszych sprawach podlegać będą centralnemu zarządowi. Dzisiejsze koła konserwatorskie ustąpią miejsca tym nowym urzędom, a te z pomocą nowej ustawy skuteczniej będą mogły działać dla dobra kultury wszystkich poszczególnych krajów korony.

B. J.

MALUCZCY.

(Ciąg dalszy.)

Podziw, jakim sposobem arcydzieła te bez pomocy sił nadprzyrodzonych wykonane być mogą, przynęcał nieraz ciekawych do izdebki Bokszy; mimo jednak cierpliwego oczekiwania i mimo, że Boksza zdawał się nie kryć z robotą, tak się wszakże zdarzało zawsze, że nikt nigdy nie był świadkiem cudownego umieszczenia rzeźby i scenę Pasji można już tylko było podziwiać gotową — na dnie flaszki.

Ta niezwykła robota dodawała pewnej tajemniczości osobie Bokszy, już bez tego osłoniętej pewną mgłą nieprzeniknioną. O nim samym mniej jeszcze niż o jego robocie wiedziano. Skąd pochodził, gdzie przebywał, czem się dawniej trudnił, o tem nie lubił mówić nikomu; mniej dyskretne pytania pomijał milczeniem, przyciśnięty do muru, wykręcał się żartem jakim lub przypowiastką. Może coś niecoś kombinowała w tym względzie ochmistrzyni. Kiedyś, podziwiając jego robotę, wyraziłam zdziwienie, skąd mógł czegoś podobnego się nauczyć.

— Pani nie wie? — odparła — a toć to oni często w ó w c z a s po więzieniach takie robili.

— Więc Boksza?

Skinęła nieznacznie głową, z twarzy jej jednak łatwo wyczytać było, że raczej przypuszcza, niż coś wie napewno.

Zresztą nic zupełnie o nim nie wiedzieliśmy. Zdawało się, że przybywał z głębi jakichś bezludnych pustyń; nie podtrzymywał żadnych stosunków, nikt do niego nie pisywał, nikt o niego nie pytał; ze światem, z którym i w którym żył, zerwał zupełnie i tak doszczętnie, jakby żadno wspomnienie szmerem skrzydła najlżejszego motyla, promykiem najoddaleńszej gwiazdki, nie śmiało przylecieć doń, odszukać, wyrwać z ust uśmiech lub westchnienie, łzą żalu zabrylantować źrenicę. Jak Chamissowski człowiek bez cienia, starzec ten zdawał się być bez przeszłości — a jeśli ją miał, to brał ją tak, że z sumy zdarzeń, które przeżywał — bolów czy szczęść — wyniósł jeden skarb niezniszczalny: niezmąconą ciszę duszy i bratni uśmiech w łagodnej źrenicy.

Od niejakiegoś czasu przywykliśmy wszystko odnosić do ram zewnętrznych, do położenia, warunków lub wydarzeń — ze świata i książek znikły czarne charaktery i anielskie dusze; wszakże może zanadto robimy miejsca starej dewizie: zrozumieć wszystko i t. d. Myślę, że indywidualność człowieka gra większą rolę, niż skłonni jesteśmy lekkomyślnie przypuszczać i ona to tworzy — że użyję porównań — wśród bujnych kłosów śniedź, a na bagnistych głębiach — lilie.

Czem była słoneczność tej duszy — wytworem sprzyjających warunków, czy własną jej siłą, o tem również trudno było wiedzieć. Jak te cudowne flaszki z Męką Pańską, któremi nas obdarzał, tak ta przedziwna słodycz z pochowaną na dnie jej przeszłością była pełna cichej a promiennej jakiejś tajemnicy, a bijąc z nieznanego, głębokiego kędyś źródła, czyniła go niezwykłym a tak prostym.

Bokszę na ogół kochano i szanowano, lecz zdarzało się niekiedy, że miał nieprzyjaciół. Raziło czasem kogoś, że miał wyjątkowe wśród służby stanowisko, raziły łaski ochmistrzyni i lepsze kąski, co mu ze stołu pańskiego padały — lecz Boksza, domyślał się tej niechęci lub nie, nie dał poznać po sobie, że go niechęć ta razi lub boli. Bez cienia pochlebstwa lub jednania był, jak zwykle, uprzejmym i dobrotliwym. Gdy go ktoś bardziej zadrasnął, miał dla takiego przy spotkaniu szczególny błysk dobroci w oczach, pokornej i pobłażliwej zarazem, bardzo cichej i wcale nie gniewnej. Nieraz spojrzeniem jednem, a uśmiechem rozbrajał tak dalece, że napastujący wzrok przed nim spuszczał, musiał przemówić coś żywo, a uprzejmie, nie jak winowajca, a jak przejednany.

Zdarzyło się raz, że zawiść ludzka omal go nie pozbawiła tego nawet skromnego kątka, jaki mu się dostał w Lesienickim dworze. Kwestja jego bytności chwiała się już na bardzo niepewnej nici. Przyszedł do dworu, prosił o widzenie się z panią;

przywołany, wszedł do jadalni. Pamiętam — stanął przy progu, w cieniu wysokiego bufetu.

Dzień był pochmurny, jesienny i światło poranku skąpo oświetlało wysoką jego postać w szarej sukmanie. W półzmierzchu widniała głowa biała o długich włosach i czoło sklepione, z włosów odsłonięte. Miał coś powiedzieć, zapewne o coś prosić, lecz czy niepokój zbyt go zatrwożył, czy nie znalazł odpowiednich słów dla przedstawienia swej krzywdy — milczał, i tylko ręką drżącą szarpał pętlice swojej sukmany.

Tak długą chwilę trwało milczenie i sytuacja stawała się męczącą, gdy nareszcie dziedziczka nie wyprowadzona z przedziwnej swej równowagi, zagadnęła go o cel przyjścia.

Wtenczas Boksza wysunął się na światło, wzniósł nieco głowę i utkwił w nas oczy.

Kiedyś miałam w ręku pojmanego na łące ptaka, czułam pod ręką drżące w śmiertelnej trwodze serce i widziałam wzrok rozpaczny, błagalny, a słodki, który przenikliwie w źrenice mi się zagłębiał — i jeszcze kiedyś słyszałam, jak łkało, szemrało morze, przybiegając falami do stóp samotnego człowieka, który stojąc na pustem wybrzeżu gonił wzrokiem oddalający się okręt — i jedno i drugie stanęło mi nagle tej chwili w oczach; lecz tu uderzyło mię coś ponadto, coś nieporównanie wyższego — błysk promienisty, a jasny, który bił ze źrenic, a mówił o jakiejś ukrytej potędze, o jakiejś mocy z wysoka, którą nieszczęście nie złamie, ani klęski nie zniżą i nie skażą, o czemś, co jest ponad wszelkie zło i wszelkie niedole, wysokie, co zdolne jest wszystko przetrwać a wszystko przebaczyć.

Zapewne nikomu z obecnych nie uszedł ten wyraz postaci i wzroku starca; cisza zrazu zapanowała — a potem zabrzmiał w niej równy, spokojny, ogromnie smutny głos Bokszy.

Niewiele mówił, nie miał nic wielkiego do powiedzenia; lecz te parę zdań, co wyrzekł, były tak proste i jasne, a tak zupełnie na łaskę i niełaskę losu zdane, że zamiast spodziewanych próśb usłyszeliśmy w nich tylko prostotę prawdy i rezygnację oczekiwanego ciosu.

Spuścił powieki, wsparł się oburącz na kiju i zamyślił się.

W ciszy, jaka znowu zapanowała, słyszeliśmy tylko drobny deszcz siekący o szyby i uderzania kędyś drzwi jakichś, któremi wiatr miotał. Przed oczyma zarysowała mi się pusta droga wśród pól, rozmiękła, błotna, a na niej, wśrod deszczu i wichru, bezdomna postać starca pochylona na kiju, źle przed zimnem odziana, krocząca samotnie w niewiadomą dal, bez celu, bez dachu przed sobą...

Z niepokojem wyczekiwaliśmy rozegrania gnębiącej sceny — aż zabrzmiał głos dziedziczki, pośpieszny, przychylny, jakby wzruszony, w paru omówieniach załatwiający sprawę na korzyść pokrzywdzonego.

Trzy lata blisko przebył Boksza w Lesienieckim dworze. Przywykli do niego ludzie, zwierzęta i ptaki, musiało przywyknąć nawet samo słońce, kiedy rankiem w małe okienko rzucało pierwsze blaski i spotykało tam zawsze głowę usrebrzoną i ręce z przerzuconym sznurem różańca i usta poruszające się żarliwą modlitwą.

Poza progiem izby rzadko można było spotkać Bokszę. W dni chłodne, zwłaszcza w czas zimowy nie wychodził nigdy; wiosną na wyprawy po młode pręty wyruszał wczesnym rankiem; jeśli gdzie się go widywało, to w ogrodzie warzywnym, który rozciągał się za oficyną, a miał na boku ustronnych czereśni kilka i ławkę w ich cieniu na wzgórku. Stamtąd można było szerokiem wejrzeniem objąć sporą przestrzeń, tam oczy nasycić widokiem zielonych łąk, skoszonych stogów siana, łanów kłosistych na wzgórzach rozbiegłych, taflą błękitną stawku, w którym odbijało się słońce złote, a sznury białych gęsi wiodły taneczne korowody. Tam w majowe wieczory, w niezmącone cisze przednocne najdonośniej uderzał w powietrze pierwszy trel słowiczy i stamtąd najlepiej wsłuchać się było można w namiętną, łkającą, porywną kaskadę jego pieśni...

Niekiedy zdarzyło mi się spotkać tam Bokszę na wieczornym pacierzu, może na rozmyślaniu. Pamiętam jedną chwilę taką.

Pozdrowiwszy staruszka, zajęłam miejsce obok niego na ławce. Uśmiechnął się; widziałam, że sprawia mu to przyjemność. Do gawędki jednak nie był chętny; zamieniliśmy parę nieskorych słów o piękności i ciszy chwili, o wiośnie, która tak nagle rozkwitła — i zamilkliśmy, woląc wpatrywać się i wczuwać, niż mówić.

Naraz, z nad wody, z zarośli, wytrysł nagle słodki wykrzyk słowika, i przedziwnie czysty cichem powietrzem przypłynął przez łąkę ku nam, pod namiot czereśni.

Staruszek drgnął nieznacznie; wyciągnął szyję, zwrócił głowę i pił chciwie, pełną piersią — pił pieśń, jak długo pozbawiony napoju pije u odnalezionego źródła.

— Myślałem — rzekł zwolna z lekkim uśmiechem — że nigdy już tego nie posłyszę... i że ni-

gdy nie zobaczę nic, co nasze... — ręką nieznaczny ruch ku okolicy rzucił. — Że mi tak umrzeć przyjdzie, nie słysząc już i nie widząc...

Usta lekko mu drżały, a głos stłumiony szemrał tak rzewnie, jakby szedł z niezgłębionych przepaści czułości i tęsknoty.

— Czy byliście tak daleko? — spytałam.

— Czy daleko?... Che, che! — uśmiechnął się uciesznie. — Nie każdy stamtąd wraca... A jeśli wróci, to już nie ten, co tam poszedł... — dodał ciszej i zamyślił się głęboko.

Po chwili znów począł mówić:

— Rozmaitemi drogami Pan Bóg ludzi prowadzi, ale ta najprostsza, która wszystkim wszystko przebacza... tak jak Pan Jezus katom swoim przebaczył. Cóż? prości ludzie — co oni wiedzą? Ciemne to, jak bydlę... I jak bydlę, okrutne.

A przecie, niejednokroć i w takim człowieku ozwie się dusza Jak zobaczy, że milczysz, a przebaczasz — sprawiedliwie i z serca przebaczasz, jako ciemnemu i jako bliźniemu — to się i w nim niespodzianie coś poruszy... jeszcze i Boga razem z tobą chwalić będzie...

Wczoraj katował — a jutro stanie ci przy łóżku i słucha jak godzinki odmawiasz; głowę nawet odsłoni, a wkońcu i przeżegna się znakiem krzyża, jak chrześcijanin. Taki już ci bratem będzie. Chociaż tego nie powie, a czujesz, że dusza w nim ocknęła się i po bratersku przylgnęła do ciebie. Już ci taki w każdym razie okaże wdzięczność, jak może... i rad słucha, kiedy jakie słowo pobożne mu rzucisz... Ludzka jest rzecz nienawidzieć się, nie zapominać — ale przebaczenie od Boga pochodzi...

(C. d. n.). *Wanda Dalecka.*

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Lamus. Zeszyt II. Wiosna 1909. Obecnie najwytworniejszy kwartalnik polski. Wydawany nie tylko z przepychem, który nie ogląda się na koszta, ale także ze znawstwem i smakiem artystycznym, jaki tylko dać może kierownik artystyczny pisma p. Feliks Jasieński. Po przeglądnięciu dwu pierwszych zeszytów, nasuwa się porównanie z „Chimerą“. Ale porównanie nie całkiem ścisłe, bo „Lamus“ nie jest chimerą, ale naprawdę magazynem doborowych artykułów, bez powziętych a priori tendencji literackich i przynależności do pewnych szkół czy kierunków. „Lamus“ jest pismem, które chce iść z chwilą bieżącą i „dzisiaj“ uważa za szczególny cel swojej pieczołowitości, nie zapominając równocześnie i o „wczoraj“. „Dzisiaj“ i „Wczoraj“ te dwie części „Lamusa“, które godzi ze sobą młody redaktor p. Michał Pawlikowski, natura bardzo ciekawa. Popędy atawistyczne (prawnuk Gwalberta, wnuk Mieczysława Pawlikowskiego) pchają go raczej do rozważania kulturalnej przeszłości Polski, wychowanie i przykład domowy (syn Jana Gwalberta) otoczyły go duchowymi zagadnieniami chwili obecnej. Stąd literackie piętno „Lamusa“. Oparty o bogate zbiory bibljoteki Pawlikowskich (nieznany mazur Szopena, spuścizna Tymona Zabowskiego, winieta tytułowa z ryciny Falcka), daje równocześnie utwory współczesnych poetów i pisarzy (Orkan, Wolska, Naworski), a wśród nich prześliczną rzecz Ludwika Kubali: Oblężenie Lwowa w r. 1655.

N O T A T K I.

Aukcja zbiorów po Bersohnie. Okazał się w druku katalog aukcyjny, wydany przez znany zaszczytnie antykwarjat Wildera w Warszawie, podający do publicznej licytacji zbiory artystyczne Mathiasa Bersohna. Mimo, że jest to tylko mała cząstka zbiorów zmarłego niedawno kolekcjonisty (lwia część bowiem dostała się do instytucyj publicznych i w ręce rodziny) zawiera wspomniany katotog 520 przedmiotów, przeważnie znacznej wartości artystycznej. Przednie miejsce w tym zbiorze zajmują obrazy szkół: flamandzkiej, francuskiej, holenderskiej, niemieckiej, kilka obrazów polskich, dział ceramiki obok porcelany i fajansów obcych, zawiera cenne i rzadkie okazy gdańskie, dzban z apteki królewskiej polskiej, wreszcie liczne wyroby ceramiczne nasze: Baranówki, Korzeckie, Lubartowskie, Nieborowskie i inne. Wspomnieć należy dalej o ładnych grupach i figurach alabastrowych, o wyrobach z marmuru włoskiego i chęcińskiego, a zwłaszcza o licznych pamiątkowych pierścieniach polskich, o pięknym zbiorze tabakierek i zegarów starodawnych. Wśród bronzów i medali znajduje się wiele rzeczy polskich, tak samo jak w zbiorze agatów, jaspirów, krwawników, szmaragdów, turkusów z kamcami i gemmami, znajdują się między innymi także okazy sztuki grawerskiej polskiej, n. p. J. Regulskiego z XVIII. w. Konsole, witryny, makaty perskie i kaukazkie, ekrany i portjery chińskie dopełniają zbioru, którego licytacja rozpocznie się w Warszawie dnia 27. maja b. r. Osobna wzmianka należy się katalogowi aukcyjnemu, który pod względem dokładności i naukowego opisu, jak niemniej pod względem typograficznym ilustracyjnym — staje na równi, albo może i przewyższa najbardziej luksusowe tego rodzaju wydawnictwa zagraniczne.

Z „Drukarni Polskiej“. Nakładem „Kurjera Lwowskiego“.